

DZIECIAKI
KOŃCA ŚWIATA



www.mglawicasow.pl

Wydawnictwo: Mgławica Sów

Autor: Hubert Jaśtak

Redakcja: Adriana Łaczyńska

Korekta: Matylda Zatorska

Łamanie i skład: Krzysztof Biliński

Projekt okładki: Katarzyna Kubasik

Opracowanie graficzne okładki: Anna Miramari Gross

Opracowanie graficzne książki: Anna Miramari Gross

Copyright © 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2025

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-974936-5-0

DZIECIAKI KOŃCA ŚWIATA

Hubert Jaśtak







SZCZĄTKI

– Znalazłem! Znalazłem jedną! – krzyknął podekscytowany.

Seria pospiesznych kroków zatańczyła na wzniesieniu za nim. Odwrócił głowę, by zobaczyć, kto przybiegł, ale oślepiło go słońce. Pochłonięty poszukiwaniami nawet nie zauważył, kiedy przyszedł dzień. Dostrzegł cień przyglądającej się mu ciekawskiej postaci na szczycie.

– Znalazłem! – krzyknął.

– Nie drzyj się tak, Marej! – zbeształ go lekko zachrypnięty głos, który skutecznie zgasił ekscytację dzieciaka. Cień zwinnie zsunął się po wzniesieniu i po chwili odstonił pulchną, zarumienioną twarz z grymasem wiecznego niezadowolenia, której wyraz ostatnio kojarzył się Marejowi z bolącą krostą na tyłku.

– I? Gdzie jest? – spytał zniecierpliwiony głos.

– Pod tym grubym. Tam głęboko, błyszczysz, widzisz? – Marej, znowu tchnięty ekscytacją, wskazał Kroście, zwanemu powszechnie Diego, ledwo widoczny odbłask w stercie zniszczonego oprzyrządowania i resztek drewnianych belek. Krosta kucnął na wilgotnej ziemi i przez chwilę wpatrywał się w ciemność.

– Na pewno tam jest? – odparł w końcu.

Marej poczuł ułtucie irytacji.

– Przecież się błyszczy!

– Cicho, debil! – Zamyślił się przez chwilę, co wymagało pełnego skupienia. – Dobra. Wyciągamy.

Te słowa zdetonowały w Mareju ładunek endorfin. Znalazł żywicę, przysłużył się rodzinie i nawet wiecznie niezadowolony Diego się z nim zgodził.

– Podniosę belkę, a ty wczotgaj się i przynieś go.

– Ja? – Marejowi na moment stanęło serce, aż można było poczuć jego trzask. – Ale Płomień zabronił...

– Ja się nie zmieszczę. Weź rękawicę i nie panikuj. Oddychaj powoli, jak będziesz blisko.

– Nie chcę... – Zabrakło mu tchu. Myśl, że miałby zrobić coś, co robią tylko starsi, go przerosła.

– Dorośnij, gamoniu. Czasem trzeba robić to, czego się nie chce. – Krosta wcisnął mu rękawicę, przywiązał do nogi sznur i popchnął do przodu. Następnie podszedł do belki, zaparł się i spróbował ją poderwać. Był z nich największy i najsilniejszy, jednak w pierwszej chwili nie mógł jej unieść. Marej pomyślał, że wcale nie będzie musiał tam wlaźić, nie będzie musiał dotykać tego...

Diego szarpnął belkę i z wysiłkiem dźwignął ją na wysokość pasa, opierając o biodro. – Właż! Długo nie wytrzymam!

Odziane w dwa różne buty stopy Mareja przyrosły do ziemi. Nie mógł się ruszyć.

– Właż... bo powiem Płomieniowi.

Chłopiec drgnął. Za nic w świecie nie chciał zawieść Płomienia. Kochał go i wiedział, że on zrobiłby dla nich wszystko. Marej również chciał taki być... nawet jeśli to było tak straszne, jak wciskanie się do tej szczeliny.

Z wielkim wysiłkiem postawił pierwszy krok, drugi przyszedł łatwiej, po kolejnym się położył. Poczuł zimną wilgoć i słodko-mdły zapach. Ziemia wydawała się pulchna, zapadła się pod nim.

– Właż! – krzyknął Diego.

Marej, niczym smagnięty biczem, popęzł w głąb zawalonej budowli, pomiędzy zniszczone, czarne pancerze i resztki, o których był nauczony nie myśleć. Było ciemno i po chwili nie widział już prawie niczego. Kierował się tylko nikłym, bordowym blaskiem, oddalonym o parę chwil. Usłyszał, jak belka drga, i wraz z biciem serca przyspieszył. Nasiąknięta ziemia obsuwała się pod ciężarem jego ciała i z trudem się poruszała. Podróż przez przerażający tunel trwała zaledwie chwilę, jednak w głowie chłopca ciągnęła się jak zbyt przemęta żujka. Z każdą chwilą robiło się coraz goręcej.

W końcu jednak dotarł do celu i oniemiał. Patrzył na nią, bordową żywicę, od której pulsowało całe to ciepło. Poczut, jak go wypełnia wraz z gęstym powietrzem. Ta mieniąca się w ciemności breja o powierzchni połyskliwej jak krew zdawała się ożywać. Powoli dostrajać do bicia jego serca, jakby chciała przemówić. Nie sądził, że będzie to tak przejmujące. Zapragnął jej dotknąć. Wiedziony impulsem wyciągnął dłoń, zapominając o rękawicy, a im bliżej żywicy znajdowały się palce, tym mocniej odczuwał własny puls.

Usłyszał coś, jakiś szmer – może niewyraźny szept?

To żywica?

Zawahał się. Chciał cofnąć dłoń, ale zdawała się go nie słuchać. Mimowolnie musnął ciepłą, wilgotną powierzchnię. Natychmiast zabili wspólnym, niesamowicie przyjemnym rytmem. Wpadł w uniesienie, powoli tracąc poczucie obecności. Otoczenie zlało się w szare tło, pozostawiając bezdenną przestrzeń pozbawioną wszelkich trosk, wypełnioną jedynie ciepłem i wrażeniem jedności. Czas przestał dla niego istnieć.

Czuł się wspaniale, nawet lepiej niż podczas ciepłych nocy przy ognisku spędzonych w gronie dzieciaków, swojej najukochańszej na świecie rodziny.

– Marej! – Jego myśli przeszył znajomy głos.

Otrząsnął się, spostrzegł, że żywica pulsuje teraz o wiele szybciej, podobnie jak jego serce. Odruchowo ją puścił i przyciągnął dłoń do piersi, a breja natychmiast przybrała matową barwę, wypełniła powietrze duszącym ciepłem i przyspieszyła jeszcze bardziej, niemal drgała. To przydusiło Mareja lękiem.

Wrzasnął panicznie.

W tej samej chwili coś pociągnęło go za nogę. Przejechał brzuchem po mokrej ziemi jak po zjeżdżalni i wypadł na zewnątrz, poza rumowisko. Odwrócił się i ujrzał twarz z ostrymi rysami i zaczątkami zarostu, zbyt poważną jak na piętnastocyklicznego dzieciaka. Błękitne źrenice odznaczały się na niej jak dwa skrawki nieba.

– Płomień! – jęknął żałośnie, pełen wdzięczności.

Chłopak nie odpowiedział. Momentalnie zdjął z szyi kraciatą chustkę, startł nią resztki gorącej żywicy z dłoni Mareja i pospiesznie wrzucił ją do środka. Następnie szarpnął chłopca i wskoczyli do wgłębienia pod plandekę, którą przytrzymywał Diego.

– Głowa nisko! – wrzasnął Płomień. Opuścili plandekę i zatkali uszy.

Powietrze drgnęło, coś zdawało się je wciągać wraz z każdym dźwiękiem. Na ułamek chwili nastała cisza.

Marej zamknął oczy.

Ziemia zdawała się przesuwać spod ich ciał. Huk implozji oszołomił chłopca.

Kiedy po kilku sekundach odzyskał zmysły, usłyszał stukot spadającego gruzowiska. Trochę skalnych odłamków wbiło się w plandekę nad ich głowami. Potem znowu nastała cisza.

– Chyba już – powiedział niepewnie Diego.

Płomień dalej wstrzymywał ich gestem.

– No przecież nie... – Huk czegoś ciężkiego nie dał dokończyć Diegowi zdania.

– Już – powiedział Płomień lekko zduszonym głosem, po czym podniósł się, by pomóc Diegowi unieść plandekę.

Marej wychylił głowę i drgnął. Zobaczył gruzy kamiennej budowli, pod którymi wcześniej się czołgał, wciśnięte głęboko w ściany osuwiska.

– Mało brakowało – Diego ledwie skończył, kiedy Płomień przyparł go łokciem do ściany.

– Co to miało być?!

– To nie... Ten smark nie włożył rękawicy ... myślałem – wysapał.

– Nic nie myślałeś! To jeszcze dziecko! Rozumiesz? Masz być za nich odpowiedzialny, a nie się nimi wystugiwać!

Diego milczał.

– Rozumiesz?! – dopytywał Płomień.

– Rozumiem – odparł zgaszonym tonem.

Marej spoglądał na nich w napięciu. Kątem oka dostrzegł coś i natychmiast zwrócił wzrok ku zaciśniętej w pięść prawej dłoni Płomienia. Obficie ociekała krwią.

Płomień odpuścił Diega. Podszedł do roztrzęsionego Mareja, ukucnął i spojrzał na niego tymi dwoma błękitami powlekającymi żrenice. Chłopiec poczerwieniał i spuścił głowę. Przytykało go. Nie tylko zawiódł rodzinę, ale jeszcze przez niego Płomień został ranny i teraz na pewno go...

– Już dobrze. Byłeś cholernie dzielny. – Odruchowo chciał chwycić go prawą dłonią, w której brakowało serdecznego i środkowego palca, ale szybko się zreflektował, chwycił go lewą i przyjrzał się uważnie. – Na szczęście wszystko starłem. Nie rób nam tego więcej, dobrze?

Marej posłusznie pokiwał głową. W oczach zalśniły mu łzy. Płomień uśmiechnął się do niego i przytulił do piersi, a chłopiec wybuchł płaczem. Przez chwilę nie mógł przestać szlochać. Czuł, jak opuszcza go ogromny ciężar, którego nie był do końca świadom. O mały włos mógłby teraz nie czuć niczego. Zatopił brudną twarz w szorstkiej koszuli Płomienia i poczuł, jak bije jego serce. Mocnym, spokojnym rytmem, który ukoił jego własne.

Na górze zaszeleściło. Chwilę później znad wzniesienia przypatrywała im się grupka ciekawskich głów.

– Żyjecie? – odezwał się zadziorny dziewczęcy głos, należący do rudej głowy z krótkimi lokami. Wydawał się zbyt dojrzały jak na czternastocykliczną dziewczynę.

– Tak. Wracamy do domu – odparł stanowczo Płomień.

* * *

Znowu wracają z pustymi rękami. Zasmuciła się na tę myśl. Żywica w ich domu niedługo zupełnie wygaśnie. Już teraz trzeba ją uspokajać co wieczór. A co, jeśli którejś nocy po prostu imploduje, kiedy będą spać w najlepsze?

Spojrzała na niebo. Chmury przestaniały słońce i od jakiegoś czasu szli w półmroku. Niby było im to na rękę, bo trudniej było ich dostrzec. Niestety każdy sznur ma dwa końce i równie trudno było dostrzec zagrożenie. Sara wiedziała jednak, że Płomień ich ochroni.

Spojrzała na jego potarganą grzywę tańczącą na wietrze, na plecy odkształcone pod znoszoną kurtkę. Zdawały się na tyle szerokie, by objąć cały ich świat. Zauważyła nową dziurę i pomyślała, że znowu podkradnie kurtkę w nocy i poprosi Toldiego o zacerowanie. Zaśmiała się w duchu na myśl, jak Płomień rano będzie się awanturował, by mu ją oddać. Pewnie wywróci cały dom do góry nogami, jakby było mało, że chata już i tak jest częściowo zapadnięta w ziemię.

Płomień nagle stanął i uniósł zaciśniętą pięść na wysokość głowy. Cała grupa w jednej chwili kucnęła, jedynie wielgachny Diego padł na kolana, by nie wystawać zza gruzów. Lider tkwił przez chwilę nieruchomo i wypatrywał czegoś przez pozostałości drewnianego płotu.

– Stawiają obóz. Kris.

Włochata czapka przemknęła Sarze obok twarzy, minęła zmartwionego Mareja, pogodnego Bączka, gburowatego

Diega i Kris znalazł się obok Płomienia na przedzie grupy. Natychmiast ściągnął spod śmiesznego nakrycia głowy gogle z grubymi, okrągłymi szklami, przetarł je i spojrzał we wskazanym kierunku, rękoma kręcąc przy oprawkach.

– Gęsto tam. Są nawet ci w złocie. Czegóż pilnują. Ale... – pokręcił lewą oprawką – od wschodu idzie mgła, możemy ją wykorzystać.

– No to po problemie. Idziemy – wtrącił Diego.

– Co z bramą? Otwarta? – spytał Płomień.

Kris spojrzał raz jeszcze.

– Tak.

– O co chodzi? Czemu nie idziemy? – dopytywał gorączkowo Diego.

– Czekają na wsparcie. W tej mgle możemy na nich wpaść. – oznajmił Płomień.

– Więc lepiej tu siedzieć i czekać, aż wrócą? Litości, Płomień. Stracimy szansę.

– Źle mi z tym, ale przyszcak ma trochę racji – powiedział Kris.

– Wypchaj się – wtrącił wielkolud.

– To świetna okazja. Jeżeli czekają na zwiad, w tym mleku z łatwością ich wyminiemy.

Płomień zerknął w stronę obozu, na jego twarzy wykwił ledwie widoczny grymas.

– Niech będzie – odparł.

Wyprostował się i wyrzwał ostatni raz przez płot, następnie zwrócił się do grupy.

– Gotowi? – Na poważnej twarzy pojawił się niemal beztrojski uśmiech, który każdemu zdjąłby ciężar z serca. Nie czekając na odpowiedź, lider odwrócił się i wyszedł zza płotu w kucki. Reszta pospieszyła za nim.

Sara spojrzała teraz tam, gdzie Kris i Płomień dopatrywali się obozu. Dopiero po chwili dojrzała niktę punkty, zapewne ogniska. Nie miała pojęcia, jakim cudem czujne oko Płomienia

wychwyciło coś tak mętnego. Zdążyła jednak przywyknąć do jego niezwykłości.

Posuwali się w dół zbocza, przez pozostałości tego, co kiedyś mogło być wioską. Teraz pozostały po niej tylko powbijane w ziemię spalone deski i kamienne gruzy domostw. Co jakiś czas natykali się na głębokie kraterzy, a w nich dziwaczne, zbyt równe prostokątne ściany. Wystawały z nich pręty, jak wnętrzości jakiegoś stalowego stwora. Monumentalne pozostałości starego świata, który według Toldiego, ich mądralińskiego, tkwił nienaruszony głęboko pod ziemią. Chociaż nienaruszony to już nieodpowiednie słowo. Nawet przeszłość nie uchroni się przed zniszczeniem, którym włada wojna.

Nie żeby znali coś więcej. Każde z nich urodziło się na długo po jej wybuchu i to był właśnie świat, w którym nauczyli się oddychać. O czasach przedwojennych wiedzieli coś jedynie ze znalezionych w ruinach drzeworytów, które jakimś cudem przetrwały. Toldi sam nauczył się je odczytywać i zawsze z wielką chęcią dzielił się zdobytą wiedzą, czasem aż zbyt ochotczo. Teraz Sara chętnie posłuchałaby jego opowieści. Była ciekawa, co działo się w chacie, od kiedy wyszli dwa dni temu po zachodzie słońca. Nie mogła się doczekać, aż wróci do domu.

Poruszali się po ruinach wioski z łatwością, idąc w szeregu niemal bezszelestnie. Kiedy opuścili jej kraniec, nie było już tak lekko. Musieli wykorzystywać nierówności terenu i głązy lub czołgać się przez długie dystanse po kamienistej ziemi, by nie wystawić się na widok.

W końcu znaleźli się kilkaset metrów od powstającego obozu. Zapowiadało się, że będzie ogromny. Wszędzie było pełno żołnierzy rozbijających namioty, budujących chaty oraz prowizoryczne umocnienia z drewna. Taki obóz mógł pomieścić setki ludzi, chociaż jak na razie była to tylko jedna, gęsto zbита grupa.

Co gorsza, przed nimi otwierał się płaski teren, pozbawiony jakichkolwiek nierówności, za którymi mogliby się schować.

Tylko bezkres pustkowia na opustoszałej ziemi. Żeby dotrzeć do połaci mgły, musieliby wyjść z ukrycia i liczyć, że wróg jakimś cudem oślepnie na ten czas.

– Co teraz? – szepnął zaniepokojony Kris.

Płomień przyglądał się obozowi w milczeniu.

– To był twój plan i pytasz co teraz? – warknął Diego.

– Ty nalegałeś, geniuszu, więc słucham, jakieś pomysły? – odparł urażony Kris.

– Zwiążcie się liną. Marej – ty z Sarą. Diego na przód, Kris za nim – przerwał Płomień, nim zdążyli pokłócić się na dobre.

Diego posłusznie wyjął linę z plecaka, przywiązał do paska i przekazał dalej, do Krisa, który niechętnie ją przyjął. Po chwili tworzyli rząd, zaczynając od Diega, przez Krisa, Mareja, Sarę, na Bączku kończąc.

– Co z tobą? – zauważył Kris, patrząc na oddzielonego od grupy Płomienia.

– Odwróć ich uwagę. Kiedy wbiegniecie w mgłę, natychmiast się schowajcie, jasne? – odparł.

– Płomień, co ty...

– Jasne? – ponowił pytanie i spojrzał po milczących twarzach.

– Jasne – wyrwał się Diego.

– Liczę na ciebie. – Lider położył mu rękę na ramieniu, a potem ruszył pochylony w stronę obozu.

– Płomień, nie możesz... – Sara nie dokończyła, bo Diego zakrył jej usta dłonią.

– Ciszej – powiedział i spieszony odjął rękę. – Wie, co robi. – Spojrzał po wszystkich zaniepokojonych twarzach. – Ufacie mu? Więc róbcie, co każe. Bądźcie gotowi do biegu.

Płomień w parę chwil był pod obozem. Niczym cień przekradł się pod ospatymi spojrzeniami strażników i zaraz stał już pod prowizorycznym murem z drewnianych bali. W półmroku był niemal niewidoczny, nawet dzieciaki musiały wyteżać wzrok. Doskonale wtapiał się w półmrok. Przez krótką chwilę szukał czegoś, aż w końcu wcisnął się

w cień i zniknął. Wszyscy wstrzymali oddech, nastuchując, czy w obozie nikt nie wszczyna alarmu. Sara poczuła, jakby ktoś ścisnął jej płuca żelaznymi kleszczami. Myśli przetargały jej umysł przez wizję złapania, bicia czy zamordowania Płomienia, rozpały lęk, który objął całe ciało. Poczuła, jak ktoś ściska jej dłoń. Spojrzała w dół i zobaczyła zaszkłone spojrzenie Mareja. Bał się równie mocno jak ona. Bo przecież nadal był tylko dzieckiem. Ta myśl nieco ją ożywiła.

Chwyciła dłoń chłopca w obydwie ręce i zdobyła się na najgorętszy uśmiech, jaki tylko mogła z siebie wydusić. Marej patrzył przez chwilę nieco strapiionym wzrokiem, w końcu jednak uległ i niemrawo odpowiedział tym samym.

Musimy w niego wierzyć – pomyślała. Zaufać mu, jak on ufa nam.

Wtedy zza murów zajęczał przeciągły dźwięk rogu, chwilę później w obozie podnieśli wrzawę, bijąc w dzwony.

– To alarm! Złapali go! – wrzasnął Kris.

– Ruszać się, już! – przekrzyczał go Diego i puścił się biegiem w stronę mgły.

– Co z Płomieniem?! – rzuciła przerażona Sara, jednak szarpnięcie liny pociągnęło ją do przodu i mimowolnie zaczęła biec razem z grupą. – Musimy po niego wrócić!

– Biegnijcie ile sił! – zagłuszył ją Diego.

Ciągnięta jego inicjatywą grupa puściła się w szaleńczym pędzie, by jak najprędzej skryć się pod płaszczem mgły. Nie oglądali się za siebie. Czuli się odstąpieni i mieli wrażenie, że lada moment powietrze przeszyje podłużny czarny postrzak zakończony ostrym grotem, że któreś z nich padnie nieruchomo na ziemię i pociągnie resztę ze sobą. Bali się tego, mimo to biegli nieustraszeni, bo tylko to mogli zrobić.

Byli już niemal u celu, kiedy poczuli nagły opór. Mieli wrażenie, że coś za ich plecami zasysa całe powietrze, ciągnąc mgłę w ich stronę. Diego poczuł cierpki zapach, by

zaraz potem na moment stracić dech. Nastąpiła cisza, która wszystkim przywiodła na myśl jedno.

Implozja.

Wyrzucona do przodu fala powietrza smagnęła ich w plecy, odrywając na moment od ziemi i omal nie powalając całej grupy.

Przepędziła mgłę kilkanaście metrów dalej.

– Padnij! – wrzasnął Kris.

– Biegnij! – wykrzyczał równocześnie Diego i pociągnął na siłę grupę w stronę mgły.

Wokół nich opadał piach oraz mniejsze fragmenty drewnianych konstrukcji. Sara poczuła ból w ramieniu, ale nie zwolniła. Biegła jeszcze bardziej zawzięcie, wspomagając Mareja, który włókł się za nią.

Gdy wpadli w mgłę, natychmiast otuliła ich ulga. Wbiegli na tyle głęboko, że obóz za nimi stał się już tylko niewyraźnym kształtem.

– Diego, starczy! – krzyknął Kris.

– Jeszcze kaw... – Diego urwał i w tym samym momencie zniknął Krisowi z oczu. Ten nie zdążył zareagować, bo sznur, którym byli związani, pociągnął go i resztę grupy w dół.

Staczali się po urwisku, a jedno ciągnęło kolejne, uniemożliwiając hamowanie. Piach ocierał im nogi, pośladki i dłonie, wpadał do oczu i ust, byli kompletnie oszołomieni.

– Die...ego – wydusił Kris, ale nim usłyszał odpowiedź, uderzył o wielkie cielsko i nareszcie się zatrzymał. Chwilę później ktoś wpadł w niego i wypchnął mu powietrze z płuc.

Przez jakiś czas leżeli na sobie i łapali ciężkie oddechy.

W końcu Diego wstał, otrząpał się i spojrzał po twarzach towarzyszy. Potem rzucił okiem na urwisko, z którego się stoczyli. Znajdowali się w dole.

Sara zerwała się na nogi.

– Musimy po niego wrócić!

– Nie – stwierdził wielkolud.

– Nie? – Nie wierzyła w to, co słyszy. – Dobrze rozumiem? Chcesz go porzucić?

Diego nie zdążył odpowiedzieć, bo Kris zerwał się z miejsca i wymierzył mu celny podbródkowy. Zaatakowany cofnął się o krok. Spadał na niego kolejny cios, ale zdołał chwycić pięść napastnika.

– Ty odpadzie! Wiedziałem, że chcesz rządzić, ale to już przegięcie! – Niższy dzieciak machnął drugą ręką.

Diego w przyptywie złości złapał ją, wykręcił i odepchnął od siebie Krisa tak, że chłopak upadł.

– Diego! – krzyknęła Sara. Marej i Bączek wpatrywali się w niego z przejęciem.

Chłopak stał przez chwilę, ciężko sapiąc z wściekłości. W końcu zaczerpnął głęboko powietrze, by się uspokoić. Spojrzał po strapiionych twarzach towarzyszy i odparł:

– Myślę, że to Płomień zadął w róg, by odwrócić ich uwagę i dać nam szansę na ucieczkę. Myślę też, że nie wdramiemy się z powrotem na urwisko, musielibyśmy je obejść, a wtedy moglibyśmy się minąć z Płomieniem, który ruszy naszym śladem. Dlatego powinniśmy poczekać na niego tu.

Kris przypatrywał mu się z niepewnością, był skołowany, podobnie jak Sara, Bączek i Marej. Wielkolud mówił naprawdę sensownie. Tym razem to ich poniosło? Kto mógł się spodziewać, że ten narwaniec jako jedyny zdoła zachować zimną krew i trzeźwo ocenić sytuację.

Diego sapnął i usiadł spokojnie na ziemi. Rozejrzał się dookoła.

– Masz kierunkomiar? – zapytał.

– Ja... tak, tak mam. – Kris otrząsnął się i sięgnął do skórzanej torby przy pasie. Wyjął sześcienne przedmiot i spojrzał przez otwór, trzymając go równolegle do ziemi. – Tam jest północ. – Wskazał kierunek przed nimi.

– Ok.

Kris schował przedmiot do torby, zakrył się futrzastą kamizelką i również usiadł.

Sara zobaczyła, że Marej drapie się nerwowo po ramieniu. Poczochrała go po głowie i ponownie wymusiła u siebie uśmiech. Bączek podszedł i uczynił podobnie. Na jego pulchnej buzi wyglądało to jeszcze bardziej rozczulająco niż u dziewczyny. Marej nie mógł im się oprzeć, parsknął śmiechem na widok dwójki café w piachu, wyszczerzonej nie wiadomo czemu.

Kris zerknął na Diego, który bacznie obserwował otoczenie.

– Diego, ja... głupio mi.

– Nieważne.

Kris chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył. Ziemia drgnęła, a za nią, z oddali rozległ się ledwie słyszalny szum. Diego też to poczuł i się odwrócił. Drgania i dźwięki były rytmiczne. Narastały.

– Kryć się! Już! – warknął Diego.

Cała grupa natychmiast przywarła do podłoża, czując dotkliwie każde kolejne stąpienie.

Kris podpełzł do towarzysza i wychylił głowę zza wznieślenia. Próbowali wyłowić z oceanu mgły jakiegokolwiek ruchu lub kształt, jednak wzrok niczego nie chwycił.

– Widzisz coś? – szepnął Diego.

– Jeszcze nie, ale to co najmniej kilka setek.

Sara objęła leżącego obok Mareja ramieniem. Poczula, jak chłopiec usiłuje uspokoić drżący oddech.

– Są! – Kris szturchnął Diego i wskazał nieco na lewo.

Wielkolud spojrzął za nim i spróbował wyteńczyć wzrok. Nie dostrzegł niczego, ale przemilczał ten fakt.

Kris przez moment leżał w bezruchu, aż w końcu powiedział, wyraźnie poruszony.

– Tak wielkiej jeszcze nie spotkaliśmy.

– Cicho, już! – szepnął Diego. W końcu dostrzegł coś przedzierającego się przez mgłę, ogromną niczym chmura gromowa smugę, rosnącą bez końca.

Drgania odczuwali w całym ciele, szum nabrał wyrazu i teraz słyhać było niezliczoną ilość stąpień. Wstrząsy wbijały im żołądki do gardeł, wstrzymywały dech w piersiach. Nigdy wcześniej nie spotkali się z takim ogromem żołnierzy, a już na pewno nie widzieli tylu wrogów z tak bliska.

Sara, uświadomiwszy sobie, że monstrualna armia Blakii idzie w kierunku posterunku, gdzie znajduje się Płomień, niemal poderwała się z ziemi i była gotowa wdrapać się na urwisko, choćby miała zedrzeć sobie paznokcie. Całe szczęście Bączek w porę chwycił ją za ramię. Musimy w niego wierzyć, zdawało się mówić jego spojrzenie. Dziewczyna zorientowała się, że inni również na nią patrzą, Marej, Kris, a nawet Diego zdawali się zgadzać z Bączkiem. Nie miała wielkiego wyboru, musiała im zaufać. Wtuliła głowę w ziemię i zamknęła oczy, próbując nie zwracać uwagi na drgania, które nie dawały zapomnieć o tej niszczycielskiej potędze przemierzającej się na zachód. Nagle poczuła, że ktoś ją objął. Odwróciła głowę i zobaczyła pełną troski twarz Mareja, który usilnie starał się podtrzymać uśmiech. Dotknęło ją to. Natychmiast mocno przytuliła do siebie chłopca i szepnęła mu do ucha – Dziękuję.

Nim armia przeszła dalej, upłynęło kilkanaście minut. Kris przez cały ten czas przypatrywał się poszczególnym jednostkom i starał się zapamiętać wszystko, co tylko mogło się przydać.

Na przedzie szli żołnierze zwarcia, odziani w mieniące się czernią pancerze ze szkła magmowego, na plecach nieśli tasaki. Na środku napierśników tkwiło wybrzuszenie, na które Kris spoglądał z pożądaniem. Dobrze wiedział, co kryje się pod pancerzem w tym miejscu. Żywica, cel ich desperackich wypraw na pobojojiska zastane ofiarami wojny. Tak wyjątkowy i cenny materiał, tak powszechny wśród jednostek armii. Na myśl o tym skręcało go w żołądku. Nic nie mógł na to poradzić.

Zazwyczaj po śmierci właściciela żywica gaśta. Raz na kilkakaset przypadków zachodziła jednak dziwna nieprawidłowość,

podczas której kamień mięknie, niemalże zamienia się w ciecz, a właściwie galaretę, zmienia barwę i staje się niezwykle niestabilny. To właśnie dla takich nieprawidłowości muszą ryzykować życiem, by zyskać następne parę tygodni w spokoju. Bo tego tylko tak naprawdę pragną. Przetrwać.

Kris zazgrzytał zębami, wbił paznokcie głęboko w udo i spróbował się uspokoić. Teraz musiał wyciągnąć z tej sytuacji coś przydatnego. To właśnie było jego zadaniem jako zwiadowcy w rodzinie i zamierzał w pełni poświęcić się swojej roli. Naliczył kilkanaście oddziałów, liczących kilkadziesiąt jednostek. Każdemu przewodził dowódca w ciężkim rynsztunku, oznaczony flagą Blakii na ramieniu. Zaraz za nimi podążali żołnierze dystansowi z załadowanymi łuczydłami, z podwójną cięciwą i długą kolbą pośrodku drewnianych łuków, odziani w lekkie pancerze ze wzmacnianych tkanin. Za nimi ciągnęły wozy wyposażone w amunicję, głównie postrzakami o ostrych grotach i łatwopalnymi strepami do machin wojennych.

Jak na zawołanie z mgły wynurzyły się trzy potężne konstrukty, monstrualne maszyny pełne spłotów cięciw napiętych do granic możliwości. Chłopak do tej pory miał okazję oglądać jedynie ich szczątki na polach bitew, a tu toczyły się trzy śmiercionośne, w pełni sprawne modele. Zapierały dech. Ku jego zdziwieniu cięciw odchodzących od ramion wyrzutowych było więcej, niż zakładali z Toldim. Przypominały włókna na mięśniach pod skórą. Sprawiały wrażenie, jakby w każdym momencie mogły puścić i uwolnić falę ognia. Dostrzegł również kilka stanowisk operujących machinami. Z tego, co pamiętał, na każdym znajdował się kanał przewodzący dla żywicy i jej właścicieli. Nie wiedział, jak to do końca działa, ale żeby taka maszyna była sprawna, trzeba było ogromnej dawki energii. Kamienie w jakiś sposób reagowały tylko na tkankę organiczną, więc żywe jednostki były niezbędne. Wyjął z torby swój szkicownik i natychmiast zaczął uzupełniać opracowany

wcześniej schemat machin. Robił to trochę na ślepo, z nosem przylegającym do kartek, bo we mgle trudno było coś dostrzec.

Poza machinami wojennymi w każdym oddziale wyróżniała się pewna jednostka. Był to lekko odziany piechur z dziwacznym, jakby wydętym nakryciem głowy oraz maską, od której odchodziła rura prowadząca do trzymanego w obydwu dłoniach skórzanego balona. Wychodziło z niego kilka mniejszych rurek, a z nich, jakby po każdym wydechu, wydobywała się chmura dymu i dołączała do gęstej mgły.

– Też to widzisz? – szepnął.

– Co? – spytał zaniepokojony Diego.

– Tych z balonami. Wygląda, jakby tworzyli mgłę.

– Nie żartuj.

– No to patrz przecież, pośrodku, widzisz?

Diego milczał chwilę, aż w końcu niepewnie pokiwał głową.

– To możliwe? – dociekał Kris, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Trwali w bezruchu jeszcze kilka długich minut, nim oddział na dobre zniknął za ścianą dymu. Oczekali jeszcze chwilę, nim odważyli się poruszyć. W końcu Diego wstał jako pierwszy i odwrócił się do grupy. Każde z dzieci miało w oczach widoczne zmartwienie, nikt jednak nie odważył się wyrazić głośno swoich obaw. Diego otworzył usta, chcąc podnieść ich na duchu, ale wtedy dojrzał we mgle skradający się kształt.

Natychmiast zdjął z pleców ząbkowaną z jednej strony ostropatę i ruszył na niewyraźną sylwetkę. Zawahał się, sądząc, że być może to Płomień, ale wtedy dostrzegł odbłask pancerza ze szkła magmowego. Bez zastanowienia opuścił ciężkie narzędzie prosto na głowę napastnika. Ten w ułamku sekundy zrobił unik, następnie uderzył w nadgarstek wielkoluda i wyrzucił mu broń z rąk. Diega zalał gniew, wziął zamach i wymierzył w miejsce, gdzie rysowała się twarz.

– Diego! – Usłyszał stanowczy głos, ale wściekłość zagłuszyła znajomą barwę. Trafił precyzyjnie.

Postać zachwiała się, cofnęła o krok, ale ustała na nogach. Sara i Marej natychmiast do niej doskoczyli.

– Płomień!

Dopiero teraz Diego oprzytomniał. Spojrzał na przyjaciela i uderzyła go ciepła fala wstydu. To rozsierdziło go jeszcze mocniej.

Przecież był przebrany. Mógł krzyknąć od razu! – Myśli ryknęły w jego głowie.

Kris chciał podbiec i wygarnąć narwańcowi, ale Bączek złapał go za ramię i wskazał na Płomienia, który schylał się po ostropatę.

– Czuję jak twarz mi puchnie. Dobrze cię mieć po swojej stronie. – Uśmiechnął się i wręczył towarzyszowi narzędzie. – Dzięki, że o nich zadbałeś. – To natychmiast rozbroiło pretensjonalną gardę Diega. Cały ciężar gniewu uleciał, pozostawiając wstyd.

Kris podszedł bliżej i przyjrzał się kobiecemu pancerzowi imperium Blakii, który był nieco za duży na pierś Płomienia.

– Wyglądasz idiotycznie. – Z uśmiechem klepnął Płomienia po plecach i wziął od niego hełm, który chłopak trzymał pod pachą. Przyjrzał mu się uważnie – Zaplanowałeś to?

– Przeceniasz mnie. To przypadek.

– Wkraść się do obozu pełnego żołnierzy, zawinąć pancerz, wszczać alarm, a na dokładkę wywołać implozję żywicy i przekraść się ot tak przy całej armii. Taka tam drobna improwizacja.

– Czysty fart – odparł Płomień. Spojrzeli sobie w oczy i parsknęli szczerym śmiechem. – Lepiej nie kusić losu. Kris, północ?

– Tam – odrzekł ponuro Diego i wyszedł z inicjatywą, podążając we wskazanym przez siebie kierunku. Zdążył już odwiązać linę, która splatała go z pozostałymi.

Płomień spojrzał pytająco na Krisa, jednak ten tylko wzruszył ramionami. Lider uśmiechnął się pocieszająco do reszty i ruszył w ślad za wielkoludem. Cała drużyna podążyła za nim.

Wiatr dął im w plecy, z każdym krokiem przesuając mgłę. Zdawała się gęstnieć. Stracili z oczu Diega już jakiś czas temu i Płomień narzucił grupie tempo.

– Diego! – krzyknął w przestrzeń.

– Diego! – zawtórowała mu Sara.

– Gdzie polazł ten uparty mulec?! – wyrzucił z siebie Kris.

– Diego!

Sara słyszała tylko coraz silniejszy wiatr. Nie byli w stanie dostrzec niczego poza mgłą. Wiedzieli, gdzie iść dzięki kierunkowi Krisa. Diego był zdany tylko na siebie.

– Kiedy ta cholerna mgła przejdzie? – Kris nawet nie próbował ukryć irytacji w głosie.

– Wiatr popycha ją z nami. Możemy tak iść aż do domu – odparł Płomień.

– Nie lepiej przeczekać?

– Co z Diegiem? – spytała Sara.

– Zna drogę. Poza tym nikt mu nie kazał iść samotnie. Teraz zadbajmy o siebie. Płomień?

Sara poczuła, jak coś wilgotnego spada na jej policzek.

– Zaczyna padać! – oznajmił Kris. – Musimy przeczekać!

Płomień szedł przez chwilę w milczeniu.

– Szukamy schronienia – powiedział w końcu. – Potem wracamy do domu.

Wiatr przybrał na sile, podobnie jak deszcz, który szturmował ich gradem lodowatej wody.

* * *

Większą część dnia studiował drzeworyty i skrobał obliczenia w swojej wysłużonej księdze. Ostatnio żywica zachowywała się coraz mniej przewidywalnie. Trudno było przewidzieć jej zachowanie, a uspokajanie kamieni stawało się coraz bardziej wymagające. Raz nawet zdarzyło się, że czerwona breja oddziaływała na Toldiego przez rękawicę

z krzewodrzewa, a przecież organiczny materiał jak dotąd doskonale izolował jej wpływ.

To wszystko sprawiało, że chłopak zachodził w głowę, nie mogąc rozgryźć źródła tych anomalii. Z dnia na dzień stresował się coraz mocniej, a jakby tego było mało żywica, którą posiadali, zaczynała dogasać. Starczy jeszcze na najwyżej dwa ładowania, o ile wcześniej nie imploduje podczas próby uspokojenia. Bez niej bulwiaki uschną i dzieciaki stracą plony. Nie przeżyją o samym mięsie, zresztą w pobliskich lasach już prawie nie było zwierzyny.

Miał gorącą nadzieję, że starszaki znalazły cokolwiek.

Obliczenia pochłonęły go niemal całkowicie i nawet nie zauważył, że słońce utonęło już za horyzontem. Dopiero kiedy nie był w stanie dostrzec drobnych cyfr na kawałku drzeworytu w swojej księdze, uświadomił sobie, że nie poczynił niezbędnych przygotowań na nadchodzącą noc.

Przeklął pod nosem, w pośpiechu podniósł oparte o krzesło dwie laski z ciemnego drewna, podparł się, by wstać i założył je na plecy, umieszczając w szelkach. Chwycił jedną z kilkadziesiąciu lin przy suficie i pokuśtykał na jednej nodze po nierównym podłożu do schodów. Wspierając się o barierki, zwinnie pokonał stopnie dwóch pięter i ujrzał lekki czerwony blask wydobywający się z piwnicy. Zdjął koszulkę, przewiesił ją przez ramię i zszedł. Natychmiast uderzyła go przytłaczająca duchota oraz zapach wilgotnej ziemi. Trudno było to nazwać piwnicą. Była to raczej obszerna jama pełna naturalnych podpór. Rozciągała się kilkadziesiąt metrów pod całą. Rozświecała ją parę latarenek, pomiędzy nimi błyskało kilka oddalonych od siebie bordowych punktów. Ścianę od strony schodów oblepiało skupisko rur poprowadzonych do wnętrza chaty. Zapewniało to domownikom cyrkulację powietrza oraz ogrzewanie.

Całe wydęte sklepienie porastały bulwiaste rośliny, sięgające do podłoża. Przypominały kolumny, a każdy szereg skupiał się wokół bordowego blasku. Zazwyczaj przywodziły na myśl

rzeście wiernych z uniesionymi do góry rękoma, oddających cześć swoim bóstwom, jednak w tym upiornym świetle bliżej im było do fanatycznej sekty.

Toldi zdjął z pleców laski, wsparł się na nich i ruszył do najbliższego skupiska bordowej cieczy, rozlanej wśród roślinnej kolumnady. Przeprowadził po grząskiej ziemi sprawiała nie lada trudność nawet w pełni sprawnym osobom, jednakże on zdawał się nie zwracać na to większej uwagi. Dotarł do światła i zdjął pokrywę z naczynia, w którym spoczywał niewielki fragment gęstej żywicy. Poczuł narastającą niepewność. Co jeśli tym razem nie da rady?

Wziął głęboki oddech i mimo piętrzących się z tyłu głowy wątpliwości wsadził dłoń do środka i dotknął lepkiej mazi. Natychmiast poczuł wspólny rytm. Żywica dostosowała się do jego oddechu i zachęciła do połączenia. Chociaż pokusa cały czas dawała o sobie znać, oparł się rozkoszy zapomnienia, jaką oferowała. Zachował własny rytm i stopniowo, z wielkim wysiłkiem narzucił go brei.

Puls żywicy niespodziewanie przyspieszył, stał się agresywny i nim chłopak się zorientował, jego oddech poszedł jej śladem. Po skroni spływały mu obfite krople potu. Zaciśkał z wysiłku zęby. Świat zaczął zlewać się w ciemną pustkę.

Nagle wciągnął gwałtownie powietrze do płuc i powoli je wypuścił. Jego ciało się rozluźniło, a wraz z nim żywica spowolniła rytm. Uległa. Przytłaczające bordo stopniowo ustąpiło ciemnej zieleni, aż w końcu maź stwardniała na kamień.

Toldi padł na ziemię i ciężko westchnął. Przetarł koszulką mokre czoło. Tego właśnie się obawiał. Żywice stawały się nieprzewidywalne, a uspokajanie ich było coraz bardziej wymagające. Dodatkowo zaduch w piwnicy był dojmujący, a w pobliżu kamieni nie dało się go znieść. Spojrzał przed siebie, po bulwiakach obleczonych zielonym światłem. Znów wydawały się wyprostowane. Toldi nigdy nie potrafił powiedzieć, czy to bordowe światło tak na nie pada i sprawia, że stwarzają wrażenie

niecو wygiętych, czy w rzeczywistości takie są. W każdym razie ta grupa ponownie mogła cieszyć się czystością swoich modłów i to się liczyło. Rzucił okiem po pomieszczeniu i zmarszczył czoło. Jeszcze pięć – powiedział w myślach. Wziął parę głębokich wdechów, po czym podparł się na łaskach, przewiesił koszulkę przez ramię i pokuśtykał do kolejnego skupiska.

Kiedy skończył ze wszystkimi, padł wycieńczony na wilgotną ziemię. Poczuł zmęczenie całego dnia, wzmocnione wysiłkiem uspokajania kamieni. Wycisnęło go to jak mokrą szmatę. Miał ochotę się tu zdrzemnąć, ale dobrze wiedział, że nie będzie miał na to szansy aż do późnej nocy. Jak na potwierdzenie z góry dobiegł stukot pospiesznych kroków, a chwilę później wysoki, przestraszony głosik.

– Toldi? Toldi! – Chłopiec, nie więcej niż siedmiocykliczny, wychylił się ostrożnie przez barierkę schodów. Dostrzegł leżącego dzieciaka. – Marlenka cię woła!

– Co chce? – Toldi podniósł głowę.

– Nie wiem. Mówi, że masz przyjść.

– Zaraz. – Znowu się położył.

Chłopiec stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić.

– No?

– Nakrzyczy mnie, jak z tobą nie przyjdę – odparł niepewnie.

– Cooo za babsko! – Podniósł się z wysiłkiem. – Dobra, już dobra. Idziemy.

W jadalni panował gwar. Kilkanaścioro dzieci biegało po nierównym podłożu i roznosiło talerze i sztucce. Układały je na wielkim, podłużnym stole. Całej hatastrze wtórował rozkazujący, gruby głos dobiegający z kuchni, przekradający się w towarzystwie kłębow dymu i smakowitego zapachu.

– Ana, Stefo, umyjcie więcej sztucców!

Jasnowłosa dziewczynka w kucykach i tysy chłopiec z oparzeniami na głowie zamiast włosów wybiegli z jadalni do kuchni, niemal przewracając Toldiego.

– Ej, ej, spokojnie! – krzyknął, łąpiąc równowagę, ale dzieci już zniknęły w kuchennych oparach.

Podszedł do okna i je otworzył, by nieco przewietrzyć pomieszczenie.

– Romek, tamte dwa też otwórz! – powiedział do chłopca, który go przyprowadził. Maluch natychmiast zaczął wspinać się na parapet następnego okna. – A reszta ciszej trochę, kiedy będzie otwarte – powiedział, przebijając się przez gwar. Następnie pokuśtykał do kuchni.

Kiedy przekroczył próg, kolejne dziecko omal go nie przewróciło. Wbiegało do pomieszczenia, niosąc ze sobą chyboczący się stos talerzy.

– Spokojnie, mówiłem!

– Nie wrzeszcz na nie! – pouczył go gruby głos, dochodzący z miejsca, gdzie stał duży, żeliwny gar. Na tle oparów rysowała się niewyraźna sylwetka, dużo masywniejsza niż latające wokół maluchy, niż on sam. Jeszcze trochę i rozmiarami przegoni Diega – pomyślał złośliwie Toldi.

– A ty na mnie, Marlenko. Co chciałaś?

– Do roboty się bierz. – Z oparów wyłoniła się potężna niczym trzon roślin podtrzymujących ich dom dziewczyna o surowym wyrazie twarzy, niosąca dużą miskę z gotowanymi bulwami. Rzuciła ją na stół obok surowego mięsa oraz deski do krojenia. Niedbale odsunęła krzesło. Dwójka dzieci przy blacie, chłopiec i dziewczynka, z wyglądu ośmiomicykliczni, przerwała obieranie surowych warzyw i podniosła wzrok. – Na plasty. Tak jak zwykle.

– Zawołaj Stefa, ma już dziewięć.

Twarz Marlenki jakby się zagotowała, nabrała czerwieni.

– Zgłupiałeś? Ty mając dziewięć, szczałeś jeszcze w gacie – wygarnęła mu, a dzieci zachichotały. – Noża mu nie dam. Poza tym całymi dniami siedzisz w tej swojej norze na strychu, kiedy ja zajmuję się tą hałastrą! Pomóż mi trochę.

– A ty myślisz, że co ja tam robię?! Kombinuję, jak nam życie ułatwić! – Nadął się.

– No właśnie, myślisz tylko, a ja robię!

Niesprawiedliwość zakłuła Toldiego niczym żądło.

– W piwnicy właśnie byłem! Ledwo stoje! Poza tym dzięki komu dupę grzejesz, co?! Czyj to projekt jak poprowadzić rury z piwnicy?

Wyższa prawie o głowę Marlenka stanęła nad wątłym Toldim i już brała głęboki wdech, by wyrzucić z siebie chmurę wściekłości, kiedy kątem oka zobaczyła zmartwione oblicza malców przy stole i w drzwiach.

– Nieważne. – Uspokoili się. – Pomóż mi teraz, proszę. – powiedziała niemal łagodnie, z ledwo wyczuwalną urazą.

Kiedy Toldi zorientował się, że maluchy są obok, również się opamiętał.

– Dobrze.

Marlenka wzięła ze stołu mięso, odwróciła się i wróciła do garnka. Dzieciak przysunął się do stołu i klapnął na krześle. Spojrzał na niepewnie zerkające maluchy i skrzywił się, wyciągając prowokacyjnie język na brodę. Chłopiec zarechotał, a dziewczynka wydała z siebie dźwięk obrzydzenia. Toldi uśmiechnął się i zaczął kroić warzywa. Chwycił pierwszego, nieco gąbczastego bulwiaka z miski, położył na desce i przeciął równo w połowie. Z warzywa wypłynęło trochę lepkiego soku, Toldi stał go palcem i uniósł do ust. Powąchał – woń korzennych nut zatańczyła mu w nozdrzach – po czym zlizął nektar czubkiem języka. Słony posmak z delikatnie słodkim akcentem i znikomą kwasowością rozbudził w nim głód, którego wcześniej nie czuł. Natychmiast zabrał się do pracy.

Robił to z dużą wprawą i uporał się z zadaniem w kilkanaście chwil. Bliskość jedzenia sprawiła, że żołądek wykręcał się na wszystkie strony, wrzeszcząc o pokarm. Spróbowałby coś podjąć, ale dobrze wiedział, że Marlenka niczym drapieżnik przypatruje mu się przez opary i gdyby tylko go przytapała, to prawdopodobnie sam wylądowałby w garze. Poza tym nie czułby się z tym w porządku. Panowała żelazna zasada, że

posiłki spożywają razem. Jedynym wyjątkiem od reguły była grupa starszych, która wyruszała na ekspedycje i nie wiadomo było, kiedy wróci. Toldi spojrzał na potężną sylwetkę Marlenki i pomyślał, że ona musi po kryjomu podjadać. Nie wyobrażał sobie, w jaki inny sposób mogłaby uzyskać taką *formę*. Pomimo tych spekulacji nie odważył się podebrać z miski choćby kawałka. Nie miał na to dowodów... przynajmniej tak sobie tłumaczył.

Skończył, wstał z krzesła, zapierając dłonie o oparcie, i wyciągnął się, prostując plecy.

– Ależ zdrętwiałem. – Ziewnął.

– Skończyłeś? – zapytała służbiście Marlenka.

– Tak, tak. – Podniósł ciężką miskę pełną plasterów bulwiaków i podał siostrze. Dym przestał ulatywać z kotła i po gotowaniu pozostał jedynie bulgot, który zagłuszał pojękiwania i burczenie w brzuchach.

– Pomóż dzieciakom posprzątać i do stołu – powiedziała.

Toldi skrzywił się, ale tym razem nie protestował. Nie chciał znowu zaczynać, więc po prostu wykonał polecenie. Pomógł sprzątnąć dwójce maluchów i parę minut później udał się wraz z nimi do jadalni.

Gdy weszli, padło na nich spojrzenie kilkunastu par ciekawskich oczu, w których zaraz wykwił lekki zawód. Dzieciaki siedziały przy stołach i ze zniecierpliwieniem wypatrywały pożywienia. Nic dziwnego, porządny posiłek dostawały zazwyczaj raz dziennie, pod wieczór, a w ciągu dnia mogły co najwyżej podjadać wydzielone resztki z poprzedniego dnia lub owoce, które zebrali podczas pory kąpielowej. Nie można mieć im za złe, że pożerają wzrokiem wszystko, co tylko przejdzie przez próg kuchni. Może kiedy starszaki przyniosą trochę świeżej żywicy, będzie im łatwiej z jedzeniem. Na to właśnie liczył Toldi i obiecał sobie, że jutro wstanie z samego rana, by ponownie przeprowadzić wszystkie obliczenia. Musi być sposób, aby nieco efektywniej zarządzać energią kamieni.

Tymczasem zasiadł do stołu na swoim miejscu naprzeciwko Stefa i zobaczył, że chłopak przygląda mu się, najwyraźniej zmartwiony.

– Co jest, młody? – spytał Toldi.

Chłopak spuścił wzrok.

– Wyszli trzy dni temu... – powiedział cicho.

Czyli on też o tym myśli – uświadomił sobie Toldi. Trzeba będzie z nim pogadać bez maluchów.

– Nie martw się, to starszaki! – odparł z wymuszonym entuzjazmem.

– Marej wcale nie jest taki duży.

Zaskoczył Toldiego, jednak ten nie dał po sobie tego poznać.

– Płomień z nim jest! No i Sara, Kris, Bączek, nawet Diego. Nie dadzą się.

Chłopak przez chwilę szukał czegoś w jego oczach. W końcu rozpromienił się nieco.

– Tak, chyba tak.

– Na pewno, młody! Główka do nieba. Nie jesteś głodny? Mnie zaraz żołądek zwiędnie. Założę się, że nie pójdziesz do Marlenki i nie poprosisz, żeby się pospieszyła – rzucił z przekąsem. Stefo spojrział na niego z przerażeniem i rozbawieniem jednocześnie.

– Nie, nie, nie, już mnie nie nabierzesz, nie – zaśmiał się.

– A ci dała popalić, co?! Wiesz, że kiedyś potłukła tychą Diega, jak próbował coś odebrać ze spiżarki?

– Diega? – Stefo zrobił wielkie oczy. Reszta maluchów również skierowała wzrok na Toldiego.

– No! Diega! Włazł głupol na palcach i myślał, że go nie słychać – urwał, bo kątem oka zobaczył coś za oknem. W pierwszej chwili uśmiechnął się, ale entuzjazm szybko wyparował, zastąpił go strach. Poderwał się z krzesła na jednej nodze, porzucając kule.

– Wszyscy pod stół! – krzyknął, a dzieciaki natychmiast padły na ziemię i wgramoliły się pod stół.

Toldi pokuśtykał na jednej nodze do kuchni, chciał ostrzec Marlenkę, ale ona już klęczała pod oknem z nożem w dłoni. Rzuciła mu ostre spojrzenie, które mówiło: *Padnij, idioto*.

Toldi tak właśnie zrobił, ale nie został w kuchni. Sprawnie wypętlł przez jadalnię i znalazł się w ciemnym przedpokoju, gdzie jedno okno było w połowie pod ziemią, a drugie w całości zabito deskami. Dotarł pod drzwi, obok których z sufitu zwisał pojemnik z niewielką ilością bordowej brei w środku. Była to ostateczność na wypadek, gdyby ktoś jakimś cudem uniknąłby wszystkich pułapek na ganku i uparcie zachowałby zainteresowanie rudą pośrodku lasu. Wiedział, że kiedy wywoła implozję, nie uda mu się uciec, ale przynajmniej zabierze intruzów ze sobą. Bo przecież ich widział, ukryta pod oknem Marlenka to potwierdzała. Pomiędzy drzewami dostrzegł jakiś ruch – na początku myślał, że to starszaki wrócili, ale potem zobaczył połyskujące szkło magmowe, pancerz żołnierza Blakii. Był pewien, że jest ich więcej, widział ruch. Ale jak się tu znaleźli? Ich szlaki biegły daleko na południu, a nawet jeśli to jakiś powracający oddział, to co przykuło ich uwagę? Rozpadający się dom na bagnach? Może staw. Tak, to musiał być staw. Jak będą mieli szczęście, żołnierze zatrzymają się przy wodopoju, a kiedy ugaszą pragnienie, ruszą dalej.

Toldi przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał zbliżające się kroki.

Niech was plugawica zeżre! – pomyślał i otworzył drzwiczki pojemnika.

* * *

Kris był przemarznięty, przemoczony, głodny i zmęczony. Jedynie, o czym marzył, to wejść do ciepłego domu, zjeść świeże bulwiaki Marlenki i przespać cały następny dzień. Pomyślał, że mają farta, bo ze środka dochodził korzenny zapach, miał zatem nadzieję, że nie będą musieli czekać i zastaną gotowy obiad.

Płomień został na końcu grupy, wypatrując Diega. Miał nadzieję, że wielkolud wrócił przed nimi, ale czuł w kościach, że tak się nie stało. Spojrzał na wymęczonych kompanów, którzy dotarli już na ganek. W oknach świeciło pustką, a dom był pogrążony w kompletnej ciszy. Coś nie grało. Zobaczyć, że Kris jest już przy drzwiach, a nie słyszał jeszcze sygnału.

Kris zacisnął dłoń na klamce. Przekręcił, ale w tym momencie ktoś złapał go stanowczo za ramię. Odwrócił się i zobaczył surowe oblicze Bączka, który powoli pokręcił głową. Ułożył usta w dziubek i wydał z siebie mlaszczący dźwięk, przypominający żyjącego dalej na północy owada wielkości pięści, siedmionogiego klekyszcza. Kris zrobił wielkie oczy i natychmiast puścił klamkę. Poczekali chwilę i Bączek powtórzył dźwięk. Zza drzwi odpowiedział im podobny mlask. Wtedy Bączek nadął policzki i tym razem zarechotał nisko niczym gardłacz, beznogi płaz.

Po tym dźwięku klamka przekręciła się i drzwi otwały się na oścież. We wnętrzu zobaczyli dwa potyskujące punkty – zaszkłone oczy Toldiego.

– Do reszty zgłupielicie?! – odparł, wyraźnie przestraszony. – Co to za szopka z tym pancerzem?

– Przepraszam, Toldi. – Płomień wyminął pozostałych, ukląkł i złapał go za ramię. – Przepraszam.

– Nie róbcie tak więcej – powiedział chłopak, przełykając łzy.

– Nie będziemy.

Kris przyglądając się tej scenie, głęboko się zawstydził. Wiedział, że to jego wina. Ze zmęczenia nie pomyślał nawet, żeby dać znak o powrocie grupy. O mało ich wszystkich nie zabił. Przerażony Toldi prawdopodobnie zaciskał dłoń na żywicy.

Poczucie winy go przygniotło. Obejrzał się na Bączka i chciał przeprosić, ale chłopiec obdarował go pełnym łagodności uśmiechem, który zdjął nieco ciężaru z barków Krisa.